

GARETH RUBIN

HOLMES



MORIARTY

ALBATROS

Tytuł oryginału:
HOLMES AND MORIARTY

Copyright © Gareth Rubin 2024
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2025

Polish translation copyright © Anna Dobrzańska 2025

Redakcja: Piotr Królak

Projekt graficzny okładki:
Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Freepik, Shutterstock

ISBN 978-83-8361-961-3

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
e-mail: kontakt@wydawnictwoalbatros.com
wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom. Konwersja do formatu ...

...

...



ROZDZIAŁ 1

Czasami, wspominając dni, które spędziłem z Sherlockiem Holmesem, próbuję opisać, co czułem, gdy władze wzywały nas do rozwikłania zagadek, które wprawiały w zakłopotanie ich najtęższe umysły. Muszę w tym miejscu nadmienić, że opisy te zawsze irytowały mojego towarzysza, uważa on bowiem, że zainteresowanie takimi sprawami powinno być dla człowieka czymś oczywistym i logicznym, niczym instrukcja obsługi silnika parowozu. Po co zatem analizować w tych relacjach własne emocje i korzystać z podobnych ubarwień? A jednak mimo podziwu, jakim od zawsze darzyłem Holmesa – najwybitniejszego detektywa, jakiego widział świat – w tej kwestii niezmiennie się mu sprzeciwiałem.

Muszę zatem opisać, co poczułem w blasku zachodzącego słońca dwa dni przed świętami Bożego Narodzenia 1889 roku.

Był to strach. Strach, jakiego nigdy dotąd nie znałem.

Zabójstwo brytyjskiego ministra wojny, podczas gdy cała Europa stała na skraju konfliktu zbrojnego, mogło być iskrą, od której zapłonie cały kontynent. W tamtym czasie wojna ogarnęłaby znaczną część świata. Ja zaś widziałem już wojnę. Tak jak widziałem otwarte bramy piekieł.

Tego, co stało między nami a owymi bramami, nie spodziewałem się zobaczyć w najśmielszych nawet snach. Był to widok szlachetnego Sherlocka Holmesa i złego do szpiku kości luminarza kryminalnego półświatka, profesora Jamesa Moriarty'ego, współpracujących, jak gdyby byli starymi przyjaciółmi, a nie zaprzysiężonymi wrogami. Współpracujących, by ocalić Europę od katastrofy.

Tak, na szwajcarskiej górze, gdy na zewnątrz szalała potworna śnieżycą, ich umysły pracowały niczym jeden, dopasowywały się do siebie, tworząc hybrydę dobra i zła: broń, która zada pierwszy cios zagrożeniu, jakiego świat jeszcze nie widział – i modłę się do Boga, by nigdy więcej nie musiał oglądać. Gdy zapadła noc, Moriarty spojrzał na mnie i wyciągnął rękę. W odpowiedzi pokiwałem głową i wręczyłem mu garść pocisków, z których każdy miał pozbawić człowieka życia, gdy...

Ale, ale. Wyprzedzam fakty. Holmes zawsze cmoka z dezaprobatą, gdy to robię. „Wszystko po kolei, Watsonie. Czymże jest brak porządku, jeśli nie chaosem?”

Muszę przyznać, że ma rację. Dlatego wrócę do początku i przedstawię owe wydarzenia w porządku chronologicznym.

W poprzednich raportach, zwłaszcza tym dotyczącym dziwnej sprawy greckiego tłumacza, miałem już okazję opisać

Klub Diogenesa, kryjówkę najmniej towarzyskich mężczyzn w Londynie. Dżentelmen, który pogardza samą myślą o socjocie, może zaszyć się tam i zadowolić czytaniem czasopism lub opasłych tomiszczy w atmosferze całkowitej ciszy. Co więcej, każdy, kto choćby zwróci uwagę na obecność drugiej osoby w dostępnych dla wszystkich pomieszczeniach klubu, ryzykuje, że zostanie zeń wyrzucony. W kwestiach życia lub śmierci do interakcji z innymi bywalcami służy Pokój Nieznajomych, choć każdy, kto zostanie zauważony, jak wchodzi do niego lub z niego wychodzi, musi liczyć się z tym, że w księdze gości przy jego nazwisku pojawi się minus.

Krótko mówiąc, było to idealne miejsce dla brata Holmesa, Mycrofta (jednego z członków założycieli klubu). Sherlock twierdzi, że umysł jego brata przewyższa jego własny w kwestii rozwiązywania zagadek kryminalnych – i zapewnia mnie, że nasze tajne służby często to wykorzystywały – lecz marnieje wskutek gnuśności swego właściciela.

Pokój był funkcjonalny i niewiele ponad to. Bywalcy klubu lubią surowe, proste meble. Jeśli mają one służyć jakimś celowi, niech i tak będzie. Jeżeli mają tylko ładnie wyglądać, lepiej je wyrzucić. Tak więc oprócz dwóch krzeseł i biurka nie było tu ani jednego obrazu, grafiki czy choćby bukietu kwiatów. Staliśmy w nogach łóżka, w którym leżał Mycroft i czytał jednocześnie trzymaną w prawej ręce rozprawę naukową na temat azjatyckich pajęczaków i trzymaną w lewej dłoni *Boską komedię* Dantego w oryginale. Odziany na biało zarządca klubu, który nas tu wprowadził, mruknął coś schrypniętym głosem, a potem stał dalej bez celu i pionował nas wzrokiem. W końcu oddalił się, a wtedy usta Mycrofta drgnęły i pojawił się na nich wątył uśmiech.

– Zapewne zauważyłeś, Sherlocku, jak Manning ostatnio podupadł na zdrowiu? – wychrypiał.

Podczas gdy Sherlock jest wysoki, blade, szczupły i kościsty, ma zielone oczy, zaczesane do tyłu czarne włosy i rozciąca wokół siebie aurę indiańskiego ascety, który w każdej chwili może wyrazić się ożywić, Mycroft jest niski i pulchny, ma ciemniejszą karnację i dziwną kozią bródkę, która upodabnia go nieco do rosyjskiego anarchisty.

Miał na sobie jedwabną piżamę i egipski fez, podczas gdy my, którzy weszliśmy do środka z zimowego smogu – tak gęstego i zielonkawego, że dwukółki i zmiatarki ulic zderzały się ze sobą, a kieszonkowcy zgarniali dość pieniędzy, by przejść na emeryturę – byliśmy odziani w ciężkie, wilgotne płaszcze. Staliśmy tak blisko siebie, że czuliśmy nawzajem, jak nasze ubrania parują. Nawet wśród moich kolegów z drużyny rugby w klubie Blackheath uchodziłem za postawnego, tak więc niemal dosłownie musiałem wcisnąć się do małej sypialni. Miałem ochotę zdjąć z siebie przemoczony płaszcz, ale najzwyczajniej w świecie nie było na to miejsca.

Jakby tego było mało, od tygodnia eksperymentowałem z bokobrodami, licząc, że przydadzą powagi mojej twarzy – okazało się jednak, że dodają mi jedynie posępności – i one także były całkiem mokre. Postanowiłem, że kiedy tylko wrócimy do naszych wygodnych pokoi przy Baker Street, zgolę je. Poza tym były bardziej siwe niż jasne włosy na mojej głowie, przez co przypominały mi, że nie jestem już tak młody jak kiedyś. Również wszywany pasek w moich spodniach zaczynał się robić przyciasny.

– Widzę to, co oczywiste – odparł bratu Holmes. – Że dziś rano stracił dziesięć szylingów, stawiając na niewłaściwego konia na torze wyścigowym w Kempton, choć jego chabeta omal nie wygrała, i że ma poważne kłopoty finansowe.

– Co? – wykrztusiłem. – Skąd to wiesz?

– Och, Watsonie. Z pewnością zauważyłeś, jak bardzo był przybity i rozdrażniony, gdy otworzył nam drzwi, i jak zwlekał z odejściem, choć w instytucji takiej jak ta zniewagą jest zabieganie o napiwki od członków klubu lub ich gości.

– Istotnie – zgodził się Mycroft.

– A reszta...?

Holmes westchnął.

– Na jego butach była trawa. Mamy połowę grudnia, tak więc zieloną trawę można znaleźć wyłącznie na starannie utrzymywanych terenach. Fakt, że przed przyjściem do pracy nie miał czasu wyczyścić butów, świadczy o tym, że przyszedł tu prosto z miejsca, gdzie przykleiła mu się do podeszew. Strzępy papieru bezceremonialnie wetknięte w kieszeń spodni, w tym jeden z widoczną u góry liczbą dziesięć, z pewnością są pokwitowaniem, które otrzymał od konika, a wątpię, by Manninga stać było na postawienie dziesięciu gwinei na jakikolwiek wyścig, musiały to być zatem szylingi. Wiem, że to Kempton, bo dziś nie organizowano innych wyścigów, a koń, na którego postawił, musiał być bliski zwycięstwa, ponieważ Manning ma zdarte gardło i zachrypnięty głos człowieka, który podczas gonitwy krzykami zachęca zwierzę do biegu. Nie zadawałby sobie trudu, gdyby zwierzę od początku biegło gdzieś na końcu.

– Dobry Boże! – wykrzyknąłem.

– Dobra robota, Sherlocku – rzekł Mycroft z uśmiechem. – Nie zgadza się tylko jeden szczegół.

– Jakież to? – odparł mój przyjaciel, lekko zaintrygowany.

– Nie chodziło o konia.

– Nie?

– Och, Sherlocku. Nie zauważyłeś, jak Manning pachniał psem? Przecież to jasne jak słońce. Wracał z wyścigów chartów, bracie. Bez wątpienia był w Walthamstow.

Holmes wzruszył ramionami z pozorną obojętnością.

– Co ci jest? – zapytał.

– Och, zwykły katar, jak sądzę. – Mycroft sprawiał wrażenie zadowolonego, że może pozostać w łóżku. – Może zaproponuje mi pan coś na uśmierzzenie bólu, doktorze?

– Wyślę panu coś – odparłem. – Proszę wypijać szklankę dwa razy dziennie po posiłkach. Powinno pomóc.

– Dziękuję. Ach, Sherlocku, mam do ciebie prośbę.

– O co chodzi?

– Zamierzam zostać tu przez chwilę. W moim domu jednak są pewne dokumenty. Wolałbym, żeby nie wpadły w ręce jakiegoś włamywacza. Zabierz je, proszę, do mojego biura w Whitehall. I strzeż ich jak oka w głowie, bo są niezwykle ważne.

– Czy niektóre z nich są zapisane po niemiecku? A inne po rosyjsku?

– Jest też kilka po francusku i po włosku. I turecku. Tak, bracie, dobrze się domyślasz.

– Nietrudno było zgadnąć, zważywszy na to, czym się zajmują twoi koledzy w Westminsterze.

W końcu zacząłem rozumieć. W ostatnich miesiącach w gazetach pojawiły się informacje o rozruchach w Europie.

Kolejni młodzi politycy i księżątka podsycali nacjonalistyczne niepokoje w swoich ojczyznach. To z kolei niepokoiło wielkie mocarstwa, które zaczęły skakać sobie do gardeł.

– Racja, Sherlocku, racja. Dokumenty znajdują się w moim sejfie. Jarrow, mój osobisty sekretarz w biurze Whitehall, będzie wiedział, co z nimi zrobić.

– Zajmę się tym. Coś jeszcze?

– Nie, nie. – Mycroft wrócił do czytania książek, jak gdyby chciał dać nam do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

– A kombinacja cyfr? – spytałem, zaskoczony, że pominął tę informację.

Spojrzał na mnie z bezbrzeżnym rozbawieniem.

– Dlaczego pan pyta?

– Cóż, bez niej raczej nie zdołamy otworzyć sejfu.

– Nie? – Skonfundowany odwrócił się w stronę Holmesa. – Czy to problem, Sherlocku?

– Ależ skąd – zapewnił mój przyjaciel.

Mycroft popatrzył na mnie, jak gdybym wysunął teorię, że księżyc to w istocie ogromna ryba.

– Niezwykłe – mruknął pod nosem.

– Chodźmy, Watsonie – zaczął Holmes. – Powinniśmy...

Nie dokończył, bo w tej samej chwili rozległo się stłumione pukanie do drzwi.

Mycroft jęknął.

– Nie, tylko nie goście – mruknął. – Jestem chory.

Nie mając ochoty wysłuchiwać jego dalszych utyskiwań, sam otworzyłem drzwi i zdziwiłem się, widząc eleganckiego młodzieńca – absolwenta Harrow, sądząc po krawacie (nie tylko Holmes jest bowiem spostrzegawczy) – o starannie

przystrzyżonych jasnych włosach i przyjemnej, chłopięcej twarzy. Jego wzrost i postawa sugerowały, że prowadzi zdrowy tryb życia; widziałbym go na pozycji skrzydłowego w drużynie rugby. Młodzieniec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Holmes chwycił go za ramię i wciągnął do pokoju.

– Młody człowieku – rzekł – w tym klubie wypowiedzenie choćby słowa poza pokojem sypialnym czy Pokojem Nieznajomych warto jest więcej niż twoje życie. Jeśli to zrobisz, zostaniesz niezwłocznie i brutalnie wyrzucony na ulicę.

Chłopak wydawał się nieco wstrząśnięty takim traktowaniem, udął jednak, że go to nie obeszło. Miałem wrażenie, że coś wisi w powietrzu.

– Pan Sherlock Holmes?

– To ja.

– Szukałem pana.

– Naturalnie. W przeciwnym razie by tu pana nie było. Zakładam, że uroczą pani Hudson zlitowała się nad panem i powiedziała, gdzie można nas znaleźć.

– Nie inaczej, proszę pana.

– Sherlocku, próbuję czytać – mruknął Mycroft, nie odrywając wzroku od książki. – Te ósmionogi to intrygujące małe bestie, które w chwili obecnej wymagają całej mojej uwagi.

– Proszę mówić zwięźle – rzucił Holmes do młodzieńca, który, jak podejrzewałem, chciał, żebyśmy uważali go za naszego najnowszego klienta.

Ten wyglądał na zdenerwowanego.

– Panie Holmes, nazywam się George Reynolds i padłem ofiarą oszustwa tak dziwnego, że sam już nie jestem pewien, czy rzeczywiście jest to oszustwo.

Holmes prawie niezauważalnie zacisnął wargi, dzięki czemu wiedziałem, że deklaracja młodzieńca wzbudziła jego ciekawość.

– Jak to? – zapytał.

Młody Reynolds przeczesał palcami gęste włosy.

– Z zawodu, proszę pana, jestem aktorem. Nie twierdzę, że najwybitniejszym aktorem mojego pokolenia, ale posiadam pewien talent. Obecnie występuję w spektaklu...

– Rozumiem, gra pan tytułową rolę w *Ryszardzie Trzecim* i miał pan przedstawienie dziś po południu.

Młodzieniec gapił się na niego w bezbrzeżnym zdumieniu.

– Skąd pan wie?

– Ledwie widoczna linia na pańskim czole sugeruje, że nosił pan kapelusz lub koronę. Jednak pana postura mówi znacznie więcej. Aktorzy zwykle pracują nad tym, by stać prosto i dumnie, tymczasem pan jest nieco przygarbiony, co świadczy o tym, że długo chodził pan pochylony i nadal bolą pana plecy. Bo i czegoż można się spodziewać po trzech godzinach garbienia się, jeśli nie sztywnych lędźwi?

Słyszając to, młodzieniec zamrugał i wyprostował się nieco.

– Tak, tak, rozumiem.

Mycroft westchnął wymownie.

– A jakież to oszustwo ma pan na myśli?

– Chodzi o to, panie Holmes, że wszyscy inni biorący udział w przedstawieniu, od giernków aż po królową, to amatorzy. Nie wiedzą, co robić, rzadko pamiętają swoje kwestie, mają koszmarną dykcję i w ogóle nie zasługują na miano aktorów.

Holmes zacisnął usta z niezadowoleniem.

– W takim razie współczuję publiczności, jednak tego rodzaju profesjonalne rozczarowania nie leżą w kręgu moich zainteresowań. Życzę panu dobrego dnia – dodał jeszcze i delikatnie pchnął młodzieńca w stronę drzwi.

– Ale publiczność jest zachwycona – odparł młodzieniec i wyszarpnął ramię.

– Tym gorzej dla nich.

– Właśnie to jest najdziwniejsze: to zawsze ta sama publiczność. Mniej więcej piętnaście osób, które zjawiają się jak według jakiegoś grafiku. Około dziesięciorga każdego wieczoru. Oprócz nich na sali nie ma nikogo innego. I za każdym razem przebierają się, udając innych ludzi.

Usłyszawszy to, Holmes opuścił rękę.

– Ludzie na widowni przebierają się?

George Reynolds wydawał się teraz nieco wyższy i zauważyłem, że jego ubranie doskonale pasuje do jego profesji. Było nieco zbyt śmiałe w kroju i kolorze i może nazbyt znoszone.

– Mieliliśmy już dwanaście spektakli. Za każdym razem siedzą dobrani w inne pary albo sami, odziani w rozmaite ubrania, od futer, przez stroje praczek, a na mundurach wojskowych kończąc. Zdarza się, że mężczyźni przyklejają brody albo naciągają czapki na czoła w nadziei, że nie zostaną rozpoznani. Cóż, kiedy człowiek stoi na scenie oślepiony reflektorami, niełatwo jest rozróżnić twarze, czasami jednak, kiedy nie występuję, lubię stać na tyłach sali i patrzeć, czy publika dobrze się bawi. To właśnie wtedy zacząłem uważać, że to zawsze ci sami ludzie.

– Lojalna publiczność, która nie chce zostać zauważona. To z pewnością niezwykłe – rzekł w zamyśleniu Holmes.

– Ale to nie wszystko.
– Zatem proszę mówić dalej.
– Jak może pan wie, w kulminacyjnym momencie sztuki dochodzi do pojedynku na rapiery między Ryszardem a Richmondem.

– Mam tego świadomość.

Mycroft z westchnieniem cisnął na podłogę dzieło Dan-tego i rozprawę o pajęczakach.

– Dziś po południu doszło do strasznego wypadku. Tępy czubek mojego rekwizytu złamał się, gdy pchnąłem nim pana Gillsa, grającego Richmonda, i naprawdę dźgnąłem go w brzuch. Rana nie była poważna, krwawił jednak i był głęboko wstrząśnięty. Kiedy leżał na ziemi, zaczął panikować, nie z powodu krwi, ale dlatego, że przyszło mu do głowy, że mógłbym odejść z zespołu. Myśl o tym przerażała go tak bardzo, że kazał mi przysiąc na własne życie, że tego nie zrobię. Próbował nawet wstać, by udowodnić mi, że rana jest powierzchowna. Zemdlony osunął się w moje ramiona, choć niebawem odzyskał przytomność. Panie Holmes, co to wszystko może znaczyć?

– Występująca incognito publiczność i obsada dziwnie zdesperowanych amatorów. – Holmes klasnął i wznosił ręce do sufitu. – Panie Reynolds, może istotnie coś jest na rzeczy. Zapraszam z nami na Baker Street, gdzie będziemy mogli kontynuować rozmowę.

Wychodząc, usłyszałem jeszcze, jak Mycroft mruczy:

– Dzięki Bogu.



ROZDZIAŁ 2

Nie ma rzeczy, którą uwielbiałbym bardziej niż nierówną walkę. Nienawidzę tych uczciwych pojedynków, w których wymiany ciosów ciągną się bez końca, a szala zwycięstwa przechyla się to na jedną, to na drugą stronę. Nie, dajcie mi wielkoluda, który będzie okładał pięściami jakieś chucheko, a będę wniebowzięty.

Mówię o tym, bo cała ta dziwaczna sprawa zaczęła się na corocznym jarmarku w Vauxhall, na imprezie nazywanej Spędem Łajdaków z powodu ogólnej atmosfery występku i draństwa. Widzicie, raz w roku, w okresie świąt Bożego Narodzenia, włodarze tego miasta otwierają bramy dawnych Ogrodów Vauxhall, w których niegdyś panowie i damy pili herbatę, i zapewniają bardziej przyziemną rozrywkę ludziom takim jak ja. Misternej roboty maleńkie filiżanki

z indyjską herbatą znikają zastąpione walkami bokse-
rskimi i gabinetami osobliwości dla tych, którzy mają w sobie
diabła. Tam właśnie zobaczyłem Merricka, Człowieka Sło-
nia, i Bess Dziwaczkę, która nie jadła niczego poza kurzymi
zołódkami. Widziałem, jak Waller, Olbrzym ze Shropshire,
pobił na miazgę czterech mężczyzn jednocześnie, podczas
gdy ich żony niemal omdlewały na jego widok i wyklócały
się o to, która będzie mogła obmyć go po walce. Ach, piękne
to były czasy.

Powiedziałem swojemu przyjacielowi i mentorowi –
wiecie któremu: temu wysokiemu, chudemu jegomościowi,
którego bystry umysł rozwikływał najtrudniejsze zagadki
kryminalne – o swoim zamiłowaniu do nierównych walk,
na co odpowiedział, że doskonale mnie rozumie.

– Dzieje się tak dlatego, że jesteś zwierzęciem, Moran –
rzekł.

– Dziękuję, Profesorze – odparłem. – Potraktuję to jako
komplement.

Profesor zatrzymał się przy stoisku z czekoladą, heba-
nową laską przegnał z drogi kilku strojących groźne miny
urwisów i kupił sobie filiżankę gorącego napoju. Upił łyk,
po czym spojrzał na mnie.

– Och, wybac, ty również miałeś ochotę?

Cóż, prawdę powiedziawszy, nie pogardziłbym filiżan-
ką gorącej czekolady. I nie chodziło o to, że nie było mnie
na nią stać – pół pensa nie zrujnowałoby moich bankierów
(miałem konto w Courts & Co., podobnie jak Jej Wyso-
kość). Ale gdybym zamówił to samo co Profesor, wyglądał-
bym jak kundel chodzący krok w krok za swoim panem, nie
zaś jak jego zaufany pomocnik.

Zapytacie jednak, dlaczego pułkownik Sebastian Moran, absolwent Eton College i Uniwersytetu Oksfordzkiego, w niedalekiej przeszłości służący w Pierwszym Pułku Pionierów Bengaluru, podąża krok w krok za profesorem Jamesem Moriartym, do niedawna zatrudnionym na Uniwersytecie St Andrews? Cóż, zostańcie ze mną, a zdradzę wam prawdę.

Podobało mi się w college'u, lecz to armia zmieniła mnie w kogoś zupełnie nowego. Polowania na trawiastych obszarach południowej Afryki i walki na wzgórzach: miesiąc po tym, jak przywdziałem mundur, klapki spadły mi z oczu i wiedziałem już, do czego zostałem stworzony. Z szablą w prawej ręce i pistoletem w lewej byłem gotowy rozpętać piekło.

Zostałem odznaczony, zdegradowany, wymieniony w rozkazie dziennym i o mały włos nie zwolniono mnie ze służby. Tak było do czasu, aż narobiłem sobie zbyt wielu wrogów i uznałem, że czas poszukać dla siebie nowego miejsca. Kiedy jednak mężczyzna zostaje zapamiętany jako najlepszy strzelec w armii Indii Brytyjskich, który gonił za tygrysami uzbrojony jedynie w mongolski miecz... Cóż, dla takiego człowieka praca na giełdzie papierów wartościowych albo nauczanie zasmarkanych bachorów greki jest niczym kara, przez którą ma ochotę palnąć sobie w łeb.

Ponieważ potrzebuję w życiu dreszczyku emocji. A nie doświadczysz go, siedząc w pensjonacie w Clapham czy spacerując w niedzielę po parku. Do diabła z tym.

Do tego potrzebuję pieniędzy. Karty, wyścigi konne, dziwki – wszystko to kosztuje. Dlatego współpracuję z Profesorem.

Przeczytałem kilka książek historycznych i mogę was zapewnić, że człowiek ten ma wyjątkowy umysł. Nigdy dotąd nie było nikogo takiego jak on. O tak, plany, które obmyśla, są piękne. Intrygi polityczne, napady rabunkowe, drobny szantaż. Niektórych z nich nawet ja nie rozumiem, aż do czasu, gdy sprawa jest rozwiązana, a my jesteśmy niemal tak bogaci jak Krezus, choć policjanci nie mogą nam nic zrobić. A jaka jest moja rola w tym wszystkim? Cóż, ja zajmuję się szczegółami: załatwiam ludzi, broń, jeśli robi się gorąco, i kryjówki, w których możemy się po wszystkim zaszyć. Dbam o dyscyplinę i jeśli trzeba, wywieram naciski. Pilnuję, żeby ludzie nie wściubiali nosa w nie swoje sprawy.

Ogólnie rzecz biorąc, Profesor płaci mi grubą forszę za to, że świetnie się bawię.

A więc byliśmy w Ogrodach Vauxhall. Przez chwilę obserwowałem stragany i występy. Były tu trybuny stojące, jezioro z łódkami do wynajęcia, drewniane pergole nad głowami, bardziej podobne do szubienic niż do chińskich chatek, które miały przypominać. A nad wszystkim tym unosiła się podejrzana atmosfera, pasująca do trzydniowej balangi, dla której się tu zjawiliśmy. Żeby się tu dostać, nie trzeba było mieć zaproszenia ani znajomości, tylko zdrowy rozsądek i szybką rękę, na wypadek gdyby ktoś postanowił uwolnić cię od portfela. W przeciwnym razie można było wrócić do domu znacznie uboższym, niż się z niego wyszło.

Wszystko to organizował gang Orcharda. Seamus Orchard, który przejął interes po swoim ojcu, Ichabodzie, utopił w Regent's Canal tylu ludzi, że idąc po trupach, można by przejść z jednego brzegu na drugi. Seamus nie był w ciemnię bity i nie ryzykował bardziej, niż to konieczne. Znałem

z widzenia niektórych z jego ludzi – choćby stąd, że obstawiali wszystkie wejścia – i nie miałbym nic przeciwko, gdyby stanęli po mojej stronie w razie awantury z Murzynami albo Pasztunami.

Spostrzegłem, że wśród jego chłopców pojawiło się wiele nowych twarzy.

– Seamus rekrutuje – zauważyłem. Skoro Orchard rozwijał interes, musiał mieć błogosławieństwo samego szefa.

– Musi. W mieście pojawiła się świeża krew.

– O czym pan mówi, Profesorze?

– Nie słyszałeś? Amerykański gangster z Nowego Jorku, niejaki Dutch Calhoon, wyraził zainteresowanie transatlantycką operacją. To intrygujący i ambitny pomysł, a sam Calhoon wydaje się całkiem ciekawym człowiekiem, zwłaszcza że jeszcze rok temu on i jego młodszy brat uchodzili za zakały rodziny. Podobno byli strachliwi w porównaniu ze swym ojcem, człowiekiem znanym jako Tartar. Pewnie już tu są. Czuję, że prędzej czy później powinienem spotkać się z Dutchem i pomówić o jego planach.

Patrzyłem, jak szef popija gorącą czekoladę, uśmiecha się złośliwie i skinieniem przywołuje jednego z uliczników, żeby wręczyć mu resztki napoju, i – niczym dziadek wnuka – poklepuje go po policzku. Ubiera się i chodzi też jak dziadek, dzięki czemu jeszcze lepiej potrafi wmieszać się w tłum. Przez to, że powłóczy nogami i nosi trzyczęściowe garnitury, wygląda jak każdy inny dżentelmen w omnibusie jadącym z Tottenham Court do Bóg-jeden-wie-gdzie. Nie zrozumcie mnie źle, jak każdy doceniam zalety dobrego kamuflażu. Dlatego wkładam mundur w kolorze khaki na sawannę i elegancki dwuczęściowy garnitur w kolorze zieleni myśliwskiej

od Gieves and Hawkes, gdy wybieram się na Piccadilly. Ale są pewne granice tego, jak pokazuję się w miejscach publicznych, a ubieranie się jak stojący nad grobem mieszkańców Balham jest nie do przyjęcia.

Mijaliśmy największy namiot ze wszystkich, ogromną pasiatą płachtę z wymalowanymi na niej skrzyżowanymi pięściami. Nawet najbardziej tępy bywalec jarmarku zgadłby, że tam właśnie odbywają się walki. Wstęp kosztował trzy pensy, czyli całkiem niedrogo, zważywszy na to, że za tę cenę człowiek mógł wybrać, co zobaczy: walkę mężczyzn, psów albo psów z niedźwiedziami, którym powyrywano kły.

– Zobaczymy walkę? – spytałem szefa.

– Skoro chcesz – odparł. – Choć nie jestem zwolennikiem przemocy, zwłaszcza bezsensownej.

Nie odpowiedziałem i podążyłem za nim. Przy wejściu stało jeszcze więcej oprychów – zobaczyłem McGilla Pięć Palców, który nie ruszał się nigdzie bez swojej dziewczyny, Coleen, wrednego rudzielca, którego nastawiłbym przeciwko dorosłemu orangutanowi, gdybym chciał, żeby małpa dostała za swoje.

– McGill – rzuciłem, wchodząc.

– Panie Moran – mruknął. Zatrzymałem się i wbiłem w niego wzrok. – Pułkownik – poprawił się zakłopotany.

Stojąca za jego plecami Coleen zachichotała.

Gdy weszliśmy, ściągano właśnie z ringu potężnego, czarnoskórego boksera z nosem od ucha do ucha, podczas gdy mierzący pięć stóp wzrostu Chińczyk skakał z radości jak opętany. Patrząc na drobnego chudzielca, można by pomyśleć, że muchy by nie skrzywdziły, ja jednak widziałem, co tacy jak on potrafią zrobić ze stopami, kolanami i pięściami,

gdy człowiek się tego nie spodziewa. Są jak tornado, które ktoś wpuścił na ring.

Wokół ringu pieniądze przechodziły z rąk do rąk. Mnóstwo pieniędzy. Widzicie, Spęd Łajdaków to prawdziwy raj dla bukmacherów i w kącie zobaczyłem Seamusa Orcharda uśmiechającego się jak kot, który dorwał się do śmietanki, bo niemal czuł, jak dziesięć procent zysków wypełnia mu kieszenie.

Poszedłem do dołu z niedźwiedziem. To dopiero była walka. Przykuta łańcuchem do pała wielka brunatna bestia szarpała się jak opętana, próbując dorwać psa, który co rusz przyskakiwał do niej i ją kąsał. Byłem w swoim żywiole: zwierzęta, wrzeszczący gapie i okazja, żeby zarobić kilka funciaków. Podeszedłem do gościa z kredą w ręce, który przyjmował zakłady na to, że walkę wygra kundel.

– Gwinea na kundla – powiedziałem, pokazując mu złotą monetę. Gdy po nią sięgnął, dodałem: – Nie tak szybko, kolego. Jakie są notowania?

Przez kilka sekund spoglądał na psa i widziałem, że kalkuluje. Zabawne, jak cockneye znają się na arytmetyce, kiedy trzeba.

– Dla ciebie, szefie, trzy do jednego?

– Trzy do jednego? Nie rozśmieszaj mnie. Bydlę prawie się już udusiło.

Gość coś mruknął, ostatecznie jednak przystaliśmy na dwa do jednego, po czym splotłem ramiona i skupiłem się na walce.

– Ho, ho! – zawołałem, gdy pies wyrwał kawał mięsa z uda niedźwiedzia. – Ten mały gnojek może wygrać.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).